Tom III. 1. Kwietnia 1871. Nr. 10.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ALLELUJA!

Jakiż to Władca — Pan niezmierzony,
Którego na świat przyjmował żłób,
Dzisiaj chwalebny i uwielbiony
Smierć pokonywa — otwiera grób.

Z palmą zwycięstwa stając w światłości
Dzieło zbawienia ogłasza nam,
Więc ludzie boży pełny ufności —
Masz teraz prawo do niebios bram.

Z miłości dla nas Zbawiciel świata
Zstąpił na ziemię i poniósł śmierć; —
Niech nas ta miłość szczerze pobrata —
Z czego nam zgoda — a Bogu cześć!

Na znak tej zgody — to przy święconem
Wspomnijcie Bracia także i nas,
Którzy z uczuciem raz wyjawionem
Na zawsze, Bracia, kochamy Was!

Sąsiedzka zgoda.

(Powiastka.)

(Dokończenie).

Świeci się wieczorem w chacie Grzegorza Niwiaka. Za stołem siedzi sam gospodarz Grzegorz, tuż obok niego Antoni Sroka i rozprawiają między sobą Dalej na ławie pod ścianą siedzą kobiety i cicho gwarzą, aby nie przeszkadzać rozmowie gospodarzów.

Z dzwonnicy zadzwoniono na Anioł — pański Grzegorz powstał, a za nim wszyscy przytomni. Przeżegnał się każdy, i począł nabożnie odmawiać wieczorną modlitwę Skończyli paciorek. Przeżegnali się i usiedli na powrót.

— Już późna godzina, rzekł głośno Grzegorz, a Jacentego niema jeszcze. Pewnie się w miasteczku gdzie zagwarzył. Żeby go tylko licho z tym pisarzem nie zniosło. Znowu by go najudził, a nam ugodę popsuł.

Ledwo tych słów domówił, gdy psisko zaszczekało i objawiło przychodnia. Wszedł oczekiwany Jacenty do świetlicy. Ale nie sam on wszedł. Za nim jak zmora wsunął się pisarz z miasteczka. Ot nędzna to figurka, jak każdy pisarzyna, co to z dobrych ludzi krew wypija. Chudzina, że ino mu kości przez skórę przezierają. Surducina nibyto czarna na nim, ale wytarta aż wstyd. Żaden porządny gospodarz nie świeciłby tak lichem przyodziewkiem jak ten niby z pańska, bo surdutowy pisarzyna. Brudny, nieumyty — ręczyska z palcami długiemi, cienkiemi, że ani rusz ich do uczciwej roboty użyć, chyba do grabienia grosza ludzkiej krwawej pracy. Taka to nędzota wsunęła się do chaty Grzegorza.

— Jak się macie panie Jacenty, rzekł Grzegorz, siadajcie, ta pogadamy o naszych gospodarskich interesach i sprawach.

— Dobrze, rzekł Jacenty, jeno pozwólcie panie Grzegorzu, że oto ten pan tu się przysłucha, i mądre swe słowo wtrąci w naszą sprawę.

— A cóż to za jeden ten pan? Wszak my tu sami gospodarze.

— To pisarz z miasteczka, co to moją sprawę prowadzi w sądzie.

— Idźcie, idźcie z waszym pisarzem. A tóż co znowu nowego do sprawy gospodarskiej sprowadzać jakichś ludzi nie naszych. Co komu do nas? Gdyby to chodziło o ważne jakie rzeczy, a nie można żadną miarą mieć zgody, no niechby tam było. Ale i w ten czas nie lada durnia się chwytać przy kieliszku wódki w szynku. Trzebaby rady mądrego adwokata, co go rząd wyznacza na to umyślnie. Ale tu pożal się Boże, sprowadziliście jakiegoś chłystka, że to chyba na lekarstwo od wielkiej choroby, a nie na sprawę. Jak chata moja stara i zgrzybiała, jeszcze nie oglądaliśmy tu żadnego pisarzyny, a Bogu dziękować, dość tu się różnych załatwiło sąsiedzkich sporów zgodnie i po Bożemu. Dajcież mi i teraz spokój.

— Ale bo nie gniewajcie się panie Grzegorzu, oto ten pan, to szanowny pan Gryzmolik, co tyle włościańskich procesów dobrze prowadzi. Ot Jakób Franecki z drugiej wsi wygrał swą sprawę z nieboszczykiem Walentym Bortnikiem.

— A ładnie mi wygrał, rzekł Grzegorz, ślicznie wygrał. Walentego zniszczył, bo to przez pięć lat się prawowali; sam zeszedł na dziada, bo ostatnią krowinę sprzedał na opłaty urzędowe, a tych wygranych głupich sto reńskich to nie odbierze od Walentego, bo Walenty nieboszczyk, a jego rodzina przez ten nieszczęśliwy proces na dziady zeszła. Wszak znam wdowę Walentową i nieraz im się pomaga.

Na te słowa pisarz zaczął zgrzytać zębami, szturkał Jacentego, ciągnął za połę sukmany, i szeptał mu do ucha:

— Chodźcie panie Jacenty, szkoda was, żebyście tu gadali. Co prawo, to prawo, tego wam nikt odmówić nie śmie. Co wam bogatemu gospodarzowi, słuchać tego starego. Niech sobie plecie zdrów, kiedy mu z tem dobrze. Ja wam sprawę wyprawuję, na co wam zgody, kiedy wam się z prawa łąka należy. Jeszcze taka śliczna łąka do tego.

Tak szeptał Jacentemu do ucha pisarzyna. Jacenty nie wie co robić. Tu siwa, mądra głowa Grzegorza do rzeczy mu prawi i do zgody nakłania. Tu znowu pisarzyna jak zły duch szepcze swoje rady. Gospodarz Antoni ani się odezwie: siedzi i duma. Stary Grzegorz słów nie żałuje, przedstawia, prosi, w końcu łając zaczyna.

— Oj, jak mi Bóg miły, mówi Grzegorz, licho już z nami, kiedy dla marnego, niesłusznego zysku, jeden drugiego tak wadzić poczyna. Oj, oj, Jacenty przyjdzie wam pokaranie za chciwość waszą i za upór wasz Bóg cierpliwy ale sprawiedliwy.

Zaledwie słów tych domówił stary Grzegorz, gdy we wsi ozwał się głos dzwonu bijącego na gwałt. Wszyscy wylecieli z chaty i ujrzeli łunę nad wioską.

— Święty Boże ratuj! krzyknęli obaj, — Jacenty i Antoni. Wszak to u nas się pali Duchem polecieli wszyscy ku pożarowi. Stary Grzegorz chwycił laskę i za nimi podążył. Ubiegli kilkaset kroków przez wioskę, — w piersiach im duszno.

— Moja chata, moja chata! krzyknął Jacenty, ratujcie, kto w Boga wierzy! Gdzie dzieci moje!

Płomienie jasne pałają — strzecha cała płonie, — nikt nie ratuje. Ludzie zbiegli się i patrzą, a nikt o ratunku nie myśli Każdy przestraszony, nikt do pożaru się nie zbliża. Jacentowa stoi jak słup; biedna nieszczęśliwa ręce łamie a rozpacza. Już podczas pożaru nadbiegła od sąsiady, z dwojgiem dziatek. Dziatki płaczą a zawodzą, bo trzecie w chacie zostało, a chata już dogorywa. Lada chwila a krokwie przepalone zwalą się i zasypią chatę.

— Ratujcie — ratujcie! krzyczy nieszczęśliwa kobieta, moje dziecko w kołysce — ratujcie...

Nikt nie odważył się; każdemu serce pęka z żalu nad kobietą i nad tą dzieciną, co może już i zgorzała. Ojciec ręce załamał i zmartwiał z przestrachu. Wszyscy osłupieli. Wtem przez tłum przedziera się Antoni Sroka — silnem kolanem wywalił drzwi chaty i wpadł do środka. Płomienie buchają coraz jaśniej, krokwie trzeszczą. Nagle trzasło coś strasznie to przepalona runęła powała i część chaty zawaliła się.

Strasznie zrobiło się przytomnym. Tam dziecko niewinne tam kochany od wszystkich Antoni co dziecko chciał ratować. Ha! zdaje się poginęli! Jezus! Marya! wykrzyknęli wszyscy przyjęci zgrozą.

Minęła okropna chwila. W tem z pod jednej ściany podnosi się postać jakaś To Antoni. Lewą ręką przyciska dzie-

cinę, prawą za głowę się trzyma. Twarz ma czarną osmoloną. Z głowy krew się leje strumieniem. Złożył dziecinę na ziemi, i padł jak bez ducha. Ludzie przylatują, wodą zlewają, ratują Antoniego. Nad dzieciną matka przyklękła, ogląda, patrzy, dziecię całusieńkie i zdrowe. Jacenty przypadł do dziecka wnet do Antoniego spieszy i na nowo rozpaczać zaczyna.

— Antoni! Antoni! sąsiedzie miły! Ludzie, na Boga! ratujcie! po lekarza! On kona tu, oj niedolaż moja!

Antoni zlewany wodą przyszedł na chwilę do siebie, Okrzyk radości wyrwał się z ust wszystkich; nikt o niczem nie myśli jak żeby Antoniego ratować. Na rękach zanieśli go do chaty jego i złożyli na łożu. Jacenty z żoną całą noc przesiedział przy jego łożu.

Przybył w końcu lekarz sprowadzony z miasteczka. Skroń skaleczoną opatrzył i głową pokiwał smutnie.

— Ciężka to rana, rzekł lekarz w końcu, trza będzie długiego ratunku i troskliwości koło chorego.

— Szanowny panie lekarzu, róbcie co wam Bóg natchnie a wasza nauka wskazuje, byleście Antoniego wyleczyli. Pół dobytku mego wam daruję, wszak Antoni me dziecię wyratował z płomieni.

— Nie trza mi waszego grosza, rzekł lekarz. ja bliźniego i daremnie chętnie ratuję, zwłaszcza tak szlachetnego człowieka.

Zawstydził się na te słowa Jacenty, on procesował Antoniego, a tu ten Antoni z narażeniem własnego życia dziecko mu z ognia wyratował. Na domiar wszystkiego lekarz nie chce nagrody. Posmutniał Jacenty i patrzy przed siebie Wtem Antoni się przebudza, oczy otwiera i miłym wzrokiem spogląda naokoło. Łza się kręci w oczach Jacentemu.

— Antoni, miły sąsiedzie, Bóg wam zapłać stokrotnie, przebaczcie mi Antoni, ja wam nigdy więcej krzywdy uczynić nie zapragnę. Tylko nie chorujcie, bo mi serce pęka od żalu. Przebaczcie mi Antoni, sąsiedzie miły.

— Żalu do was nie mam żadnego, zcicha szepcze Antoni ani też wy macie za co dziękować. Zrobiłem tylko to, co mi Bóg, ta sumienie kazało.

Niepostrzeżony wszedł Grzegorz do chaty. Podniósł ręce trzęsące się z wzruszenia i starości, zaszeptał cichą modlitwę, i błogosławił przytomnym. Prosta chata wieśniacza wydała się jakby święte miejsce, bo zgodzone w niej biły serca. Grzegorz stary przemówił dobitnym głosem:

— Odtąd niech święta zgoda między nami panuje na wieki. Niech zaginą swary i prawowania niesłuszne. Na znak tej zgody skoro Antoni pozdrowieje, zasadźmy nową gruszę i wspólny kopiec usypmy. Bo stara grusza, co ją Jacenty za graniczną podawał, to smutna pamiątka. Ta stara grusza, to przezemnie sadzona na pamiątkę, gdym po nieszczęśliwej wojnie za Ojczyznę sam do domu powrócił. Gdzie ta grusza stoi, tam pożegnałem się z ojcem waszym, Jacenty, a wróciwszy nie zastałem go przy życiu, i jemu na pamiątkę gruszę posadziłem. Ot niech zgoda będzie wieczna, kochajcie się, boście jednej matki Ojczyzny dzieci, która tylko zgodą wspólną a nie swarami utrzymać się może.

Stach ze Lwowa.

Sąd w Lesie.

Piękne było tam ustronie,
Gdzie lew usiadł na swym tronie.
Przy nim wiele było gości,
A on w zwykłej wspaniałości
To i to im rozporządzał,
Wreście wiele spraw rozsądzał.
Wtem dwóch łotrow przywiedziono
I przed tronem ich stawiono.
Był to pies i lis już stary —
Obaj wielkiej godni kary.
— Cóż pies zrobił? — lew zapytał.
— Mości królu! kury chwytał.
— A lis znowu jak się sprawił?
— Także jak pies kury dławił!
A więc sprawa jednakowa...
Wtem lew w te się ozwał słowa:
— Prawda, obaj kradli kury,
Lecz kto gorszej z nich natury?
— Lis, — mówiono — bo przebiegły
Gdy wpadł, kury nie spostrzegły;
Idąc bowiem na wyprawę,
Zawsze grzeczną miał postawę,
Nigdy niczem się nie zdradzał,
Cicho w kącie się zasadzał
Potem wpadał niespodzianie...
Pies, gdy szedł na polowanie,
Począł zaraz głośno szczekać,
Jakby wołał, by uciekać;
To też tylko głupsze kury
Mógł dostawać w swe pazury..
Lew nasrożył swe spojrzenie —
Pies otrzymał napomienie,
Lisa mocno ukarano,
W jamie siedzieć mu kazano

Gorszy nieprzyjaciel, co milczkiem napada
I do celów swoich używa skrytości;
Jawny nie tak straszny, mniejsza jego zdrada,
Użyć bowiem można środków ostrożności!

Józef z Bochni.

Małpa.

Pisaliśmy Wam już o rozmaitych stworzeniach, o takich, co człowiekowi szkodę przynoszą i o takich, co dla człowieka są pożyteczne. Pisaliśmy Wam o lwach, tygrysach, nosorożcach, pisaliśmy także o słoniach i wielbłądach. Teraz zaś chcemy Wam donieść nieco o zwierzęciu, które nie służy nam wprawdzie na pożytek, ale za to nas zabawić może, a tem zwierzęciem jest małpa.

Widzieliście już zapewnie nieraz po jarmarkach i odpustach Niemców, co grają na katarynkach, na których siedzi albo do muzyki skacze jakieś dziwne zwierzę, jakiego u nas ani w lesie ani w zagrodzie nie spotka. Otóż jest to także małpa, ale najmniejsza z wszystkich swoich krewniaków. Tak bowiem jak psy są rozmaitego gatunku i rozmaitej wielkości, jakoto: kundyse, pudle, jamniki, wyżły i wiele innych, tak też i małpy różnią się od siebie gatunkiem, sposobem życia, wyglądaniem i wielkością. Ot więc ta małpeczka, którą na katarynkach widujemy, jest najmniejszą.

Zdziwiło Was bez wątpienia dziwne podobieństwo małpy do ludzi; ma bowiem taka małpa ręce zupełnie jak nasze, a nawet dłonie nagie, nagą twarz, uszy do naszych podobne i oczy tego samego kształtu, jak nasze. I rzeczywiście jest taka małpa podobną do człowieka, ale podobną do niego tak, jak człowiek który się drugiemu wykrzywia i przedrzeźnia. Mówią nawet niektórzy ludzie, że małpa jest rozumną, a mówią to, bo widzą, że małpa sobie usiądzie jak człowiek, na dwu nogach chodzić potrafi, żre jabłka i cukier i człowieka we wszystkiem naśladuję. Niech sobie to tam myślą ludzie, nam się jednak zdaje, że małpie do rozumu bardzo daleko. Wszak ja jeszcze w tem rozumu także nie pokazuję, jeżli drzewo porąbię siekierą, jak

inni, albo sobie kaszę nagotuję. O nie! nam dał nasz Stwórca całkiem inny rozum, dał nam rozum, abyśmy myśleli, zastanawiali się, i myśli nasze wypowiedzieć mogli. A gdzie to znajdziesz u małpy! — Mówić nie umie, ba nawet piszczy tylko wtedy, jak jej się żreć zechce albo ją pan obije. Lecz chcę na teraz pozostawić opisanie zwyczajów małpich, a chcę Wam powiedzieć, jak wyglądają i gdzie mieszkają te dziwolągi.



Małpa zwana Orangutan

Żyją te zwierzęta w krajach cieplejszych, niż jest nasz kraj, ale już nawet i w naszej części ziemi, którą Europą nazywamy znajduje się pewien rodzaj małp, a to właśnie ten, który Niemcy po całym włóczą świecie. Rozumie się, że nie tak blisko naszego kraju mieszkają te małpy, bobyśmy niedawali Niemcom za pokazywanie tego stworzenia naszych krajcarów, ale daleko aż w kraju, który nazywają Hiszpanią i to tylko w najcieplejszej części i li na jednej górze. Więcej ich jest w części ziemi, która z naszą częścią ziemi czyli Europą sąsiaduje, t. j.

w Afryce. Drapią się one tam po górach i skałach i żywią się tylko owocami, które u nas za drogie pieniądze sprzedają, jakoto pomarańczami, figami i t. d. — Ale w Afryce nietylko ten gatunek małp mieszka, lecz i wiele innych, a niektóre dochodzą wielkości człowieka, a nawet są od niego większe. I tak żyją w Afryce n. p. małpy, które się nazywają Gorylle. Są one od człowieka słuszniejsze, a co do wyglądania bardzo mu podobne. Różnią się tylko tem, że są całe czarnemi, gęstymi włosami pokryte i że, jak wszystkie inne małpy, zamiast nóg ręce mają. Ten gatunek małp, czyli Gorylle, jest nadzwyczaj silny, a nawet z silnym lwem taka małpa wojować się nie boi. Możecie sobie wyobrazić, że to nie żarty spotkać takie stworzenie w lesie, kiedy cię jak muchę udusić może, twój karabin albo fuzyą w dwoje zgiąć potrafi a rurkę od strzelby jak nic zębami spłaszczy. Żyje tam także małpa na cały sążeń wysoka, którą nazywają Orangutanem afrykańskim. Jest ona także czarnym włosem porośnięta i nieladajaką posiada siłę, ale nie jest tak złą i nieuczciwą, jak Gorylla. Po lasach wyją tam jeszcze i małpy zwane Mandryle, czyli leśne diabły, które dla tego tak nazwano, bo są bardzo brzydkie, złośliwe i bezwstydne. Wyobraźcie sobie bowiem stworzenie o czterech rękach, pokryte rudą szczeciną, z ogromnemi uszami, czerwone jak burak na twarzy, o zwisłych policzkach, w których po kilkanaście jaj przechowywa. Choćbyś wiedział, że to małpa, toby ci przecież mrowie po pod skórę przeszło.

Prócz Afryki ma także i ta część świata, którą Azyą, i ta, którą Ameryką nazywamy, swoje małpy. I tak żyje w Azyi, a mianowicie na wyspach, małpa także do człowieka bardzo podobna, zwana Orangutanem azyatyckim. Dochodzi ona do czterech stóp wysokości i jest prócz twarzy, usz i dłoni brunatną siercią pokryta. Jest ona jedną z najuczciwszych, nie jest złośliwą, lecz spokojną i nie szkodliwą. — Wszystkie te małpy, które żyją w Afryce i Azyi, nie mają ogona, ale są także i takie, które mają ogony i to dość długie a te właśnie żyją w Ameryce. Są one mniejsze od Gorylli i od Orangutanów, większe jednak od małpy, która żyje w Hiszpanji czyli tak zwanej małpy tureckiej. Głównie dzielą się one na dwa

rodzaje, różnią się jednak tylko pod względem barwy sierci i pod względem krzyku, jaki z siebie wydają. Podobieństwo ich do człowieka jest najmniejsze, a nawet powiedzieć możemy, że żadne.

Kiedyśmy Wam już napisali, jak te małpy wyglądają i gdzie żyją, to zdaje się nam, że trzeba także coś napisać, jak żyją po lasach na wolności, a jak wtedy, gdy je człowiek połapie i do żelaznych klatek pozamyka.

Jak Wam już poprzednio donieśliśmy, żywią się one po większej części owocami, a niektóre także i jajami, jak n. p. Mandryl. Dlategoteż nie są one wcale przyjemnymi gośćmi dla właścicieli pól i ogrodów. Głównymi mianowicie szkodnikami są małpy amerykańskie, nie żyją bowiem pojedyńczo albo parami, lecz gromadnie. Możecie sobie zatem wyobrazić, jak taki ogród musi wyglądać, gdy się jakie sto małp w nocy zakradnie i pożera wszystkie owoce i gałęzie połamie, albo gdy wszystkie melony z ogrodów pozbierają. Ludzie też nie pozostawiają swych ogrodów, mianowicie tych, które blisko lasów leżą, bez opieki i polują na małpy. Cóż to jednak pomoże, kiedy małpa sobie na to także wynajdzie sposoby. Gromada ich bowiem to tak wyuczona, jakby jakie wojsko. Wysełają naprzód małpę na zwiady, czy nie ma jakiego niebezpieczeństwa a potem rozstawiają straże, które tym, co pustoszą ogród, dają zaraz przeraźliwym głosem znaki, że się człowiek zbliża. Gdy tak wypróżnią całe ogrody, gdyby jaka szarańcza, zabierają się do lasu i wędrują dalej, ażeby przyszłej nocy to samo gdzieindziej powtórzyć. Przeszkód nie znają one, kołyszą się po drzewach na swoich ogonach, a jak mają przejść jaką rozpadlinę, to sobie także radzą. Wtedyto budują most z samych siebie; jedna małpa czepia się drugiej ogonem i tak to dalej idzie, aż ostatnia drugiego dosięga brzegu. Po tym to żywym moście przechodzi cała gromada i z hałasem i wrzaskiem rozgaszcza się po drzewach. Rozumie się, że to, co tu napisałem tyczy się tylko małp amerykańskich, bo tylko one ogony mają.

Afrykańskie i azyatyckie małpy są mniej szkodliwe, a to dlatego głównie, że nie żyją gromadnie i nie napadają gro-

madnie ogrodów. Są one jednak niebezpieczniejsze dla człowieka, bo mają więcej siły i złości, niż tamte.

Podziwienia godna u wszystkich małp jest miłość rodzicielska. Taka małpia matka nosi swoje młode ciągle na rękach, daje mu najlepsze strawy i broni je do śmierci. Zdarzało się często, że chciano małpie młode odbierać, ale prawie zawsze trzeba było wprzód matkę zabić, nim się jej dziecię dostało. Ba widziano małpy, nawet które poranione kulami swe młode w ręku trzymały a jeszcze i wtedy, gdy śmierć już w sobie czuły, dziecię swoje oblizały i wysadziły na drzewo.

Inaczej zachowują się małpy w uwięzieniu, t. j. gdy ludzie je złapią. Wtedy niektóre z łatwością się do człowieka przywiązują, podczas, gdy inne w kilka dni z tęsknoty za wolnością giną. Orangutany mianowicie i Gorylle nie przyzwyczajają się nigdy do klatki. Za to mniejszego gatunku małpy, jak n. p. małpa turecka, Mandryl i inne tak się przyzwyczajają do człowieka, iż go tak jak pies nigdy nie opuszczają. Wkrótce wyuczają się spożywać strawy, któremi się ludzie żywią, piją mleko, kawę, a nawet wódką i winem nie gardzą i jedynie mięsa nie tkną nigdy. Dziwna też natura tych małp! Jak n. p. raz jedną złapali ludzie i powieźli ją z sobą do domu, nauczyła się wkrótce przyzwoicie przy stole siedzieć, używać przy jedzeniu łyżki i widelca, a przy piciu flaszki i szklanki. A nawet zdarza się dość często, że i fajkę małpa palić się nauczy. W ogóle tak, jakby się chciała człowiekowi wykrzywiać, naśladuje wszystkie jego czynności. Siądziesz do stołu i weźmiesz flaszkę do rąk, a wkrótce zjawia się gdzieś z za pieca małpa i odebierze ci ją; zapalisz fajkę, to małpa to samo uczyni. Patrzysz w zwierciadło, to i małpa ogląda w niem swe przystojne oblicze, jednem słowem tysiąc figlów płata. Tak n. p. widziała raz małpa, jak cyrulik jej panu brodę golił. Gdy ją pan zostawił samą w domu, łapie kota, sadza go na krześle, podwiązuje mu brodę ręcznikiem i dalej kotu brodę golić. Rozumie się, golenie długo nie trwało, bo małpa zręczności cyrulika nie miała i podcięła gardło kotu. Tak też widziała raz małpa, jak z węgli kasztany szczypcami wyjmowano; nie znalazła szczypiec, ale łapki kota zdawały się jej być do szczypiec podobne

i zaczęła kasztany z pieca wyjmować łapami kota, który ją uczciwie podrapał. A wiele taka małpa psot nie wyrządzi! To ci szybę zbije, gdy widzi, żeś na niej zabębnił, no a cukierniczki i w ogóle wszystkie słodycze, to się aż trzęsą przed nią, bo wykrada je po porządku. Ot i nam w naszym kraju, gdzie dla małpy za mało ciepła, zdarza się widzieć małpę jeżdżącą na psie niby na koniu; bębni w bębenek, skacze, iska swego pana i t. d. Jestto zatem, jak widzimy, zabawne zwierzę, ale ma ono i wiele złych stron, a osobliwie złości to ma już tyle w sobie, jak żadne inne stworzenie. Nie dasz jej, czego jej się zachciewa, to ci gotowa oczy wydrapać, włosy powyrywać, a zemsta jej nawet tak dalece nie zna granic, że czasami człowieka we śnie udusi. W ogóle małpa ma wiele przymiotów zabawnych, ale też tylko takich – i złych jednak wiele, a może nawet jeszcze więcej.

Rysunek, który Wam na tem miejscu załączamy, przedstawia afrykańskiego orangutana, na którym się przekonać możecie, że małpa rzeczywiście nadzwyczaj do człowieka podobna. Tego orangutana jednak ledwie gdzie widzieć można, bo nie łatwo da się pojmać, a w niewoli rychło ginie.

Nafta.

Ledwie kto o tem u nas pomyśli, jakie skarby nasza ziemia w sobie kryje. Pożywamy z różnemi potrawami sól, a często nie wiemy, że z Wieliczki. Rąbiemy siekierą drzewo, a nie wiemy, że ta siekiera z Mizunia, warzymy potrawy w kotłach i rądlach, a nie wiemy, że te kotły z Wełdzirza, oświetlamy nasze mieszkania lampami albo naftowemi świecami, a nie wiemy, że ta nafta z Borysławia. Otóż właśnie o tej nafcie chcę Wam cokolwiek napisać.

Jak Wam wiadomo, stała się nafta prawie niezbędnie potrzebną w naszem gospodarstwie. My nią oświecamy nasze izby, a ledwie gdzie znaleźć można dom, w którymby tego oświetlenia nie używano. Jakto miło się siedzi zimowymi wieczorami przy kominku! Na dworze sroży się wicher, śnieg

zalepia szyby okna, w kominie wiatr przygrywa, a mróz maluje kwiaty lodowe po szybach. A nam tak miło, a nam tak ciepło! Na kominku trzeszczy łuczywo i iskry się sypią wokoło, a na stole stoi lampa, która daje całej izbie dostateczne i dobre światło. Rodzina usiadła przy stole, — matka pieści dziecię na ręku, a ojciec opowiada swoje przygody, jakto jeszcze bywał w wojsku, albo opowiada historyą królów polskich, czyta pismo św. albo wreszcie naszego „Dzwonka". I słucha spokojnie cała czeladka, cicho w izdebce, chyba, że czasami zafurczy wrzeciono, albo pies zaszczeka w sieni. Miło się jakoś cały dzień pracuje, bo się czeka na długi wieczór, jak to gospodarz znów będzie czytał historyą o Kazimierzu, królu chłopków albo o św. Stanisławie, albo jaką powiastkę z „Dzwonka". A cóż to sprawia właśnie tyle przyjemności, co uprzyjemnia długie wieczory zimowe? Zapewne, że nic innego, jak ta mała lampina naftowa na stoliku, która właśnie daje takie miłe spokojne światełko. Wszak prawda, że przy kaganku, to czytać nie można? A przed tem mieliśmy kaganki, które trzeba było łojem albo masłem zasycać, i łojówki, które się ciemno i niespokojnie paliły. Mieliśmy wprawdzie także i świece woskowe, ba, ale woskowe świece nielada pieniądze kosztowały Dlategoteż godziło się je tylko przed obrazem Zbawiciela albo Matki Najświętszej zapalać. Widzimy zatem, że nafta dla nas niepośledniem dobrodziejstwem, bo i tanio kosztuje i dobre światło daje Prawda, że i nafta nam się czasem bardzo źle przysłuża; wywróć tylko lampę, a tu się zacznie wszystko w około ciebie palić. No, ale to nie jest koniecznością, aby się zawsze lampy po stołach wywracały i aby spowodowywały pożary. Cóż to szkodzi być ostrożnym i uważać, aby się stoły nie kiwały i aby nafta się nie zapalała? Przecież i iskra z fajki nieostrożnie rzucona między drzazgi, wznieci ogień i spali najpiękniejszą zagrodę. Toć przecież rzecze stare przysłowie. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże!" Czemużbyśmy więc nie mieli się starać, aby Bóg Najwyższy nas strzegł? To więc nie powinno nas zrażać od nafty.

Otóż tej nafty mamy w naszym kraju pod dostatkiem, mamy jej tyle, że nawet i cudze kraje zaopatrywać w ten dar

boski możemy. Do niedawna jeszcze u nas nie wiedzieliśmy, ani też nie przypuszczaliśmy, że nafta w naszej ziemi być może. Opatrzność boska czuwa jednak nad nami i zaspokaja nasze potrzeby. Otóż też zdarzyło się, iż przypadkowo, przy kopaniu studni z jamy zamiast wody nafta trysnęła. Tak n. p. stało się w Borysławiu, gdy przypadkowo na obfite zdroje nafty trafiono. Borysław teraz stał się najznakomitszą kopalnią nafty w całym naszym kraju, a nafta borysławska należy do najlepszych. Szkoda jedynie, że nie umiemy naszych skarbów w własnych rękach zachować, bo Borysławiem cudzoziemcy zawiadują i ssą lud okoliczny w najbezczelniejszy sposób. Gdy się ruszyła wiadomość, że w Borysławie taka śliczna nafta się pokazała, zaczęto prawie wszędzie grzebać i wszyscy się rzucili na to, bo chcieli się naraz zbogacić. Grzebanie to i poszukiwanie jednak rozmaite wydało owoce: jedni zagrzebali w ziemi swą zagrodę, konie, woły i cały swój majątek, a innym znowu trysł piękny, żółty strumień nafty z ziemi. I tak doszli ci szczęśliwi do ogromnego majątku. Mianowicie powiaty drohobycki, przemyski, sanocki i w małej części kołomyjski dogrzebały się nafty i zarabiają coraz więcej. Osobliwie drohobycki był z tych powiatów najszczęśliwszy, albowiem prócz nafty znalazły się w ziemi także wielkie pokłady tak zwanego wosku ziemnego czyli parafiny, z którego to wosku robią piękne, prawie przeźroczyste swiece. Można ten wosk ziemny otrzymać także przez wygotowywanie nafty, łatwo sobie jednak przedstawić o ile szczęśliwszy jest ten, który już ani kotłów ani drzewa ani zachodu nie potrzebuje, tylko czystą parafinę czyli wosk ziemny posiada. Również i powiat sanocki można do szczęśliwych pod tym względem zaliczyć. Pola tam nie są bardzo żyzne, więc Pan Bóg chciał mieszkańców tamecznych w inny sposób nagrodzić. I tak n. p. we wsi Bóbice, która jest własnością pana Klobasy, kopano studnię koło dworu. W tem, co za uciecha, zamiast wody buchła nafta z podziemia. I teraz jest tam wykopanych do siedmdziesiąt studzienek czyli raczej szybów, a trzydzieści z nich codziennie ogromną ilość nafty wydaje, tak iż roczny dochód z nafty bobieckiej liczą wyżej stu tysięcy złr. Rozumie się że to poła-

komiło także i sąsiadów, anuż więc kopać. A mianowicie w Zwoniczu, który z Bóbrką sąsiaduje, zaczął hr. Zaturski kopać szyby, ale daremnna była jego praca, bo nafty nie ma Tak zaczęto kopać wszędzie, gdzie się udało, ale Pan Bóg ukarał tych, którzy zapomnieli o cięższej pracy i lekkomyślnie, gdziekolwiekbądź zaczęli nafty szukać, nie pobłogosławił ich pracy, a bardzo często się zdarzyło, że zamiast nafty jakby na śmiech czyściutka woda trysnęła. Dlategoto trzeba zawsze pomyśleć, co człowiek i jak robić powinien i nie trzeba się dać zupełnie opanować tylko chęci zysku, bo Bóg, który w naszych sercach czyta gdyby w książce, nie pobłogosławi chciwości. *Mańko ze Stryja.*

Rozmaitości.

— Z nad Sanu smutna nas doszła nowina. Zacny ksiądz Szymon Serafin, kanonik, wysłużony dziekan krośnieński, i nadzorca szkół ludowych, pleban z Odrzykonia, umarł dnia 8. marca b. r. Dziś wypada nam słów kilka powiedzieć ku czci i pamiątce nieboszczyka. Ś. p. ksiądz Szymon urodził się w r. 1798, wyświęcił się na kapłana w r. 1825, i odtąd w Odrzykoniu życie swe prowadził, gdzie też i umarł przeżywszy lat życia 72, a wzorowego i bogobojnego kapłaństwa 45 lat. Otrzymawszy plebanię w Odrzykoniu wziął się ś. p. ksiądz Szymon do pracy około swych owieczek. Znaną jest w całej okolicy niezmordowana jego gorliwość około kościoła i szkółki. Założył w parafii swej Bractwo Różańca św. Podczas odpustów sprowadzał po kilkunastu księży żeby nikt nie odszedł bez Sakramentów św. Widząc ś. p. ks. Szymon, że kościółek drewniany już stary i za mały dla parafian, postanowił wybudować murowany i większy. Zachęcił parafjan do składek dobrowolnych, sam zaś zaoszczędzony grosz własny dokładał co roku do pomnażania pieniędzy na te budowę. Obecnie jest już na to 8300 złr. Umierając zapisał całe swe mienie na ten cel.

Jak około kościoła, tak też i około oświaty ludu gorliwie chodził. Założył szkółkę parafjalną w Odrzykoniu, i umiał do niej zachęcać i wzbudzać do nauki zamiłowanie. Prócz tego zachęcał do czytania książek i pism moralnych dla ludu. Żadna parafia może nie naliczy tyle czytających co odrzykońska. W ręku parafjan tamtejszych znaleść można naszego Dzwonka, Chatę, Gwiazdkę Cieszyńską, Opiekuna dzieci i inne pisma. Pisemka te parafianie za własne prenumerują pieniądze, co jest oznaką ich poczucia potrzeby do czytania.

Założył także nieboszczyk bibljoteczkę parafialną i szkolną i w każdą niedzielę i święto po nauce katechizacyjnej zatrudniał czytaniem tak młodszych jak i starszych.

To mu dodawało męztwa do cierpliwego znoszenia długich i bardzo boleśnych cierpień w ostatnich czasach życia Oby mu te cierpienia policzył pan Bóg ku wiecznej zasłudze a nam w jego miejsce dał wiele tak zacnych kapłanów.

— Noc kanawałowa. Pewien siodlarz z Bubny zrobił sobie w niedzielę rano mocne postanowienie, by wesoło spędzić noc karnawałową. Udawało się mu do 1 godz. w nocy. Obszedłszy wszystkie szynki, umyślił sobie wstąpić jeszcze do jednego szynku, by się napić wódki. Ale od tej chwili zaczęło się mu niepowodzić, pomimo że znalazł tam liczne grono nocnych biesiadników. Częstował ich wódką, śpiewał i cieszył się bardzo, że im smakowała. Naraz zmienił humor i rozgniewał się mocno, bo mu ktoś ukradł zegarek. Przyskoczył do drzwi i nie chciał nikogo ani wpuścić ani wypuścić z izby. Wtem nadszedł patrol. Zegarek znaleziono pod stołem. Ale złodziei nie schwytano, bo się cichaczem wysunęli. Jednakże tej samej nocy schwytano ich w innym szynku i w więzieniu osadzono. Ponieważ siodlarz zepsuł sobie tutaj zabawę, poszedł gdzieindziej, by pić dalej. Ale im więcej zażywał gorących trunków, tem więcej go niepokoiło, że sobie popsnł noc karnawałową. Począł więc wymyślać kląć i bić pięścią, aż popadł w złość tak wielką, że tłukł szklanki i szyby w oknie. Przyszedł znowu patrol i zabrał pana brata do kozy. I któżby był powiedział! resztę nocy przepędził w towarzystwie owych złodziei, którzy mu ukradli zegarek. On to był powodem, że ich tak pięknie zgromadzili. Tak przepędził noc karawałową, takie wódka sprawia przygody!

Złote ziarna.

Nadewszystko kochaj Boga,
Bliźnich tak, jak siebie,
Ta do szczęścia jedna droga
Doprowadzi ciebie.

Miłość bliźnich — miłość Boga
Serce rozwesela
Z największego nieraz wroga
Robi przyjaciela.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.